

STEPHEN
KING

DZIEWCZYNA, KTÓRA
KOCHAŁA

TOMA GORDONA

Rozgrzewka

Świat to potwór zębaty, gotów gryźć, gdy tylko zechce. Trisha McFarland odkryła tę fundamentalną prawdę w wieku dziewięciu lat. O dziesiątej rano tego dnia na początku czerwca siedziała na tylnym siedzeniu dodge'a caravana matki, w niebieskiej bluzie treningowej Red Soxów (z numerem 36 – numerem Toma Gordona na plecach), bawiąc się swą lalką Moną. O dziesiątej trzydzieści zabłądziła w lesie. O jedenastej rozpaczliwie próbowała opanować atak paniki, broniąc się przed myślą: „To poważna sprawa, to bardzo poważna sprawa”. Rozpaczliwie broniła się także przed myślą, że kiedy ludzie giną w lesie, bywa z nimi niedobrze. Bardzo niedobrze. Bywa, że umierają.

„A wszystko dlatego, że chciało mi się siusiu” – pomyślała, ale prawdę mówiąc, nie chciało jej się siusiu aż tak, poza tym mogła przecież poprosić mamę i Petera, by poczekał na nią tę małą chwilkę, potrzebną do ukucnięcia za drzewem. Tyle że oni znów się kłócili – ale nowina, no nie? – i dlatego została odrobinę z tyłu, nie mówiąc im o tym ani słowa. Dlatego zeszła ze szlaku, za kępę wysokich krzewów, i o tym też nic im nie powiedziała. Uznała, że należy jej się mała przerwa, proste, prawda? Miała dość słuchania, jak się kłóć, miała dość udawania wesołej i pogodnej, ukrywania, że ma-

rzy tylko o tym, by wrzasnąć na matkę: „Odpuść mu! Jeśli aż tak chce wrócić do Malden i mieszkać z tatą, to mu na to pozwól, wielkie mi co. Gdybym miała prawo jazdy, sama bym go odwiozła i wreszcie mielibyśmy chwilę ciszy i spokoju!”. I co by się wówczas stało? Co by powiedziała matka? Jaką by miała minę? I Pete. Pete jest starszy – ma prawie czternaście lat – i całkiem niegłupi, więc czemu się upiera? Dlaczego sobie nie odpuści? Pragnęła powiedzieć mu jedno: „Daj spokój”. A właściwie pragnęła to powiedzieć im obojgu.

Do rozvodu doszło przed rokiem. Sąd przyznał matce prawo do opieki nad dziećmi. Peter gorzko i długo protestował przeciw przeprowadzce z przedmieścia Bostonu do południowego Maine; właściwie nie przerwał protestów aż do dziś. Po części rzeczywiście wolał mieszkać z ojcem i nie miał zamiaru zrezygnować z tego argumentu, kierowany błędnym instynktem, który mu podpowiadał, że w ten sposób jest w stanie ugodzić matkę najgłębiej i najboleśniej, Trisha wiedziała jednak, że nie jest to motyw jedyny ani nawet najważniejszy. Peter chciał wrócić do Bostonu przede wszystkim dlatego, że nienawidził szkoły w Sanford. W Malden szło mu jak po maśle. Rządził klubem komputerowym niczym udzielny książę, miał przyjaciół – dupków, bo dupków, ale była tych chłopaków spora grupa i szkolne łobuzy nie ośmiały się ich zaczepiać. W szkole w Sanford nie było nawet klubu komputerowego, Pete zdobył sobie zaledwie jednego przyjaciela, Eddiego Rayburna, a w styczniu Eddie wyjechał, bo jego rodzice również się rozwiedli. Pete został więc sam – ofermą szkolną, nad którą każdy mógł się znęcać do woli. A co najgorsze, wszyscy się z niego śmiali. Zyskał sobie nawet przydomek, którego szczerze nienawidził: CompuWorld.

W te weekendy, których dzieci nie spędzały z ojcem w Malden, matka zabierała je na wycieczki. Z ponurym uporem, na który nie było lekarstwa. Trisha całym sercem

marzyła o weekendzie bez wycieczki, bo na wycieczkach było najgorzej, ale nie spodziewała się, by taki cud nastąpił w przewidywalnej przyszłości. Quilla Anderson (matka wróciła do panińskiego nazwiska i załóżcie się, o co chcecie, że Peter tego też nienawidził) była kobietą, która doskonale wiedziała, czego chce... i dokładnie to dostawała. Podczas jednego z weekendów spędzanych z ojcem Trisha usłyszała, jak jej tata mówi do swego ojca: „Gdyby to Quilla dowodziła pod Little Big Horn, Indianie nieźle by oberwali”. Nie podobało jej się, kiedy tata mówił tak o mamie, wydawało się to równie dziecinne, co nielojalne, musiała jednak przyznać, że w tej szczególnej myśli tkwiło więcej niż ziarno prawdy.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy, podczas których jej stosunki z Peterem pogarszały się stale i systematycznie, matka zabrała ich do muzeum samochodów w Wiscasset, do wioski shakerów w Gray, do ogrodu botanicznego New England Plant-A-Torium w North Wyndham, do Six-Gun City – zrekonstruowanego miasteczka z westernu – w Randolph, w New Hampshire, na spływ kajakowy rzeką Saco oraz na narty do Sugarloaf, gdzie Trisha zwichnęła nogę w kostce, co doprowadziło do dzikiej awantury między rodzicami. Wierzcie mi albo nie, rozwód to doskonała zabawa.

Czasami, kiedy któraś z wycieczek naprawdę mu się podobała, Peter zamykał gębę na kłódkę. Stwierdził, że Six-Gun City to „dla dzieci”, ale mama pozwoliła mu spędzić większość czasu w sali gier komputerowych, więc wrócił do domu wprawdzie niekoniecznie szczęśliwy, lecz przynajmniej milczący. Jeśli jednak coś mu się nie podobało (a najbardziej ze wszystkiego nie podobało mu się Plant-A-Torium, tego dnia, wracając do Sanford, wkurzał się wręcz koncertowo), nie uważał bynajmniej za stosowne zachowania swej opinii dla siebie. Zasada „żyj i daj żyć innym” nie mieściła się w jego światopoglądzie. W matki zresztą też nie, a przynajmniej

Trisha nigdy nie dostrzegła u niej usiłowań, by wprowadzić tę zasadę w życie. Za to ona sama uznawała ową zasadę za najprzydatniejszą w świecie, ale cóż w tym dziwnego. Wystarczyło jedno spojrzenie na Trishę, by stwierdzić: „skóra zdjęta z taty”. Nie zawsze jej się to podobało, przeważnie jednak tak.

Trishy nie obchodziło, dokąd wyjeżdżają w soboty. Byłaby szczęśliwa, gdyby odwiedzali wyłącznie wesole miasteczka i pola do gry w minigolfa, wówczas bowiem kłótnie nie były aż tak straszliwe. Mama uważała jednak, że wycieczki powinny być także „kształcące”, stąd Plant-A-Torium i wioska shakerów. Nie da się ukryć, że Pete miał swoje problemy, wśród nich zaś ten, że nienawidził, by kształcono go przymusowo w soboty, które z największą radością spędzałby w pokoju, grając na macu w Sanitarium lub Rivena. Raz i drugi zdarzyło mu się wygłosić opinię o wycieczce wystarczająco dobitnie (brzmiało to mniej więcej tak: „o kant dupy potłuc”), by matka uznała za stosowne odesłać go do samochodu z poleceniem „opanowania się”, póki ona nie wróci z Trishą.

Trisha miała wielką ochotę wytłumaczyć matce, że Pete jest za stary, by traktować go jak przedszkolaka i stawiać do kąta, że być może pewnego dnia wróćą do pustego samochodu i stwierdzą, że postanowił autostopem powrócić do Massachusetts, ale – rzecz jasna – milczała. Same sobotnie wycieczki były oczywiście bez sensu, mama jednak nigdy nie przyjęłaby tego do wiadomości. Pod koniec niektórych Quilla Anderson wyglądała co najmniej o pięć lat starszej niż na początku, w kącikach jej ust pojawiały się nagle głębokie bruzdy, masowała skronie, jakby cierpiała na dokuczliwy ból głowy... ale nie rezygnowała i nie miała zamiaru zrezygnować. Gdyby była pod Little Big Horn, Indianie może by i wygrali, lecz drogo zapłaciliby za to zwycięstwo.

W tym tygodniu wybrali się do miasteczka w zachodniej

części stanu. Biegł przez nie prowadzący do New Hampshire Szlak Appalachów. Poprzedniego wieczoru, siedząc przy kuchennym stole, mama pokazała im fotografie z broszury. Na większości z nich widać było wesołych wędrowców na ścieżce lub w „punktach widokowych”. Osłaniali oczy i spoglądali w głąb pięknych leśnych dolin albo na wygładzone przez czas, lecz nadal imponujące szczyty centralnego pasma Gór Białych. Pete siedział przy stole i wyglądał na kosmicznie wręcz znudzonego. Na broszurę zaledwie zerknął z łaski. Mama postanowiła nie dostrzegać tego ostentacyjnego braku zainteresowania. Trisha, której ostatnio coraz mocniej wchodziło to w krew, grała zachwyconą rozkoszniczkę. W ogóle miała wrażenie, że upodabnia się stopniowo do uczestników teleturniejów, robiących zawsze takie wrażenie, jakby mieli zsikać się w majtki z radości na samą myśl o wygraniu kompletu garnków do gotowania bez wody. A gdyby ktoś spytał, jak się czuje, powiedziałaaby, że niczym klej łączący dwie części stłuczonego wazonika. Słaby klej.

Quilla zamknęła broszurkę i odwróciła ją. Na tylnej stronie okładki znajdowała się mapa. Matka stuknęła palcem w niebieską krętą linię.

– To droga numer 68 – oznajmiła. – Samochód zostawimy na parkingu, o tu. – Poklepała niebieski kwadracik. Teraz przyszła kolej na krętą czerwoną linię. – To Szlak Appalachów między drogami 68 i 302 w New Conway, w New Hampshire. Ma niecałe dziesięć kilometrów, oznaczony jest jako średnio trudny. Aha, środkowa część ma oznaczenie „trudny”, ale nie będziemy potrzebowali sprzętu wspinaczkowego i tak dalej.

Postukała w inny niebieski kwadracik. Pete demonstracyjnie wpatrywał się w ścianę. Siedział z głową opartą na dłoni, rozciągnął mu się przy tym kącik ust, przez co wyglądały jak skrzywione w pogardliwym grymasie. W tym roku dostał

pryszczycy i miał ich na czole cały świeży rząd. Trisha bardzo go kochała, ale czasami – na przykład tego wieczoru, kiedy mama przedstawiła im plan wycieczki – nienawidziła go równie mocno. Bardzo chciała mu powiedzieć, że jest tchórzem, w końcu wszystko się do tego sprowadzało w gruncie rzeczy, jak zwykły mawiać tata. Peter marzył o tym, by powrócić do Malden z małym młodzieńczym ogonkiem między nogami, był bowiem tchórzem. Mama nic go nie obchodziła, siostra nic go nie obchodziła, nie obchodziło go nawet to, że mieszkanie z ojcem wcale nie musiało na dłuższą metę okazać się dla niego dobre. Obchodziło go tylko to, że jada drugie śniadanie, siedząc samotnie na ławce szkolnego boiska. Obchodziło go tylko to, że kiedy wchodzi do klasy po pierwszym dzwonku, ktoś zawsze pozdrowia go słowami: „Hej, jak ci leci, CompuWorld? Co porabiasz, pedałku?”.

– To parking, na który wyjdziemy – powiedziała mama, albo nie zauważając, że Pete nie interesuje się mapą, albo udając, że nie zauważa. – Autobus podejźdza tu około trzeciej. Zabierze nas z powrotem do samochodu. W dwie godziny później jesteśmy w domu. Jeśli nie będziecie zbyt zmęczeni, wybierzemy się razem do kina. Jak wam się to podoba?

Wczoraj wieczorem Pete zachował wyniosłe milczenie, za to dzisiejszego ranka usta mu się nie zamykały. Zaczął, kiedy wsiedli do samochodu w Sanford. Nie chce jechać na wycieczkę, wycieczka jest dowodem ostatecznej głupoty, w telewizji mówili, że po południu ma lać, dlatego muszą spędzić sobotę, włączając się po lesie, i to o tej porze roku, kiedy wszędzie bywa najwięcej robali, co się stanie, jeśli Trisha wpadnie w trujący bluszcz (jakby go to w ogóle obchodziło), i tak dalej, i tak dalej. Nic, tylko gadał i gadał. Miał nawet czelność powiedzieć, że powinien siedzieć w domu, ucząc się do egzaminów, choć, zdaniem siostry, w całym dotychczasowym życiu nigdy nie uczył się w sobotę. Mama najpierw

milczała bohatercko, ale w końcu przecież załazł jej za skórę. Udawało mu się to bezbłędnie, jeśli tylko miał dość czasu. Kiedy parkowali na ubitej ziemi przy drodze numer 68, ścisnęła już kierownicę tak mocno, że aż zbieleły jej kostki palców, i mówiła wysokim, urywanym głosem, który Trisha знаła aż za dobrze. Mama przechodziła właśnie z alarmu żółtego w stan alarmu czerwonego. W każdym razie wyglądało na to, że dziesięciokilometrowy spacer po lasach zachodniego Maine może się okazać wyjątkowo długi.

Trisha próbowała najpierw odwrócić uwagę obojga, wygłaszając pełne zachwyty komentarze na widok zrujnowanych stodół, pasących się koni i malowniczych przydrożnych cmentarzy, została jednak tak kompletnie zlekceważona, że po prostu musiała zamilknąć. Siedziała na tylnym siedzeniu z Moną (którą ojciec nazywał Moanie Balogna) na kolanach, przytulona do plecaka, słuchając kłótni i zastanawiając się, czy będzie płakać, czy po prostu zwariuje. Czy kłótnia rodzinna może doprowadzić kogoś do szaleństwa? Może matka masowała czasami skronie czubkami palców nie dlatego, że bolała ją głowa, lecz po to, by powstrzymać zmęczony mózg przed samozapłonem, gwałtowną dekompresją lub czymś w tym rodzaju.

Trisha uciekła od rzeczywistości w swe ukochane marzenie. Zdjęła czapkę Red Soxów i wczuwając się w rolę, skupiła się na podpisie na daszku, zamaszystym podpisie, wykonanym miękkim flamastrem. Był to podpis Toma Gordona. Peter lubił Mo Vaughna, mama miała słabość do Nomara Garciaparry, lecz faworytem Trishy i jej taty był zdecydowanie Tom Gordon. Zawodnik ten z zasady zamykał grę – wchodził na boisko w ostatniej, dziewiątej rozgrywce, gdy Red Soxci wygrywali, ale nie decydująco. Tata podziwiał Gordona, ponieważ zawsze wyglądał na absolutnie spokojnego – „w żyłach tego skubańca płynie woda z lodem”, ma-

wiał – więc Trisha też go za to podziwiała, dodając czasami, że tylko Gordonowi wystarczy śmiałości, by narzucić podkręcaną piłkę przy trzy i zero (tę opinię tata przeczytał jej kiedyś ze sprawozdania w „Boston Globe”). O innych sprawach Trisha rozmawiała wyłącznie z Moanie Balogną i, lecz tylko raz, z przyjaciółką, Pepsi Robichaud. Pepsi wspomniała od niechcenia, że Tom Gordon jest „całkiem przystojny”. Moanie Trisha mogła się zwierzać bez oporów, i jedynie Mona wiedziała, że Gordon jest najprzystojniejszym żyjącym mężczyzną i że gdyby tylko dotknął ręki Trishy, ona z pewnością by zemdląła, a gdyby ją pocałował, choćby w policzek, to by pewnie nawet umarła.

Teraz, gdy matka i brat kłócili się zażarcie na wszystkie możliwe tematy: o wycieczkę, o szkołę w Sanford, o całe ich zachwiane życie, Trisha wpatrywała się w czapkę, którą tata jakimś cudem zdobył dla niej w marcu, tuż przed początkiem sezonu baseballowego, i w wyobraźni malowała taką oto scenkę:

„Jestem w parku w Sanford, dzień jak co dzień, idę do domu Pepsi przez teren zabaw dla dzieci. Przy wózku z hot dogami stoi mężczyzna. Jest w dżinsach i białym podkoszulku, na szyi ma złoty łańcuszek; stoi tyłem do mnie, ale widzę, jak łańcuszek błyszczy w promieniach słońca, mężczyzna odwraca się i, Boże, nie wierzę własnym oczom, to naprawdę on, Tom Gordon. Nie wiem, co robi w Sanford, ale to on, tak, to on, i te jego oczy, zupełnie takie jak wtedy, kiedy wpatruje się w bazowego, czekając na jego sygnał, te oczy, uśmiecha się, mówi, że się zgubił, i pyta, czy nie wiem przypadkiem, jak dojechać do miasteczka North Berwick, a ja, Boże, mój Boże, trzęsę się cała, wiem, że nie zdołam nic wykrztusić, otworzę usta, lecz nie potrafię wypowiedzieć ani słowa, wydam z siebie tylko zduszony pisk, który tata nazywa czasami pierdnięciem myszy, ale próbuję i okazuje się, że mogę mówić, że mój głos brzmi prawie normalnie, więc mówię...”

Ja mówię, on mówi, potem ja mówię i on mówi; miło jest myśleć o tym, jak mogłaby wyglądać taka rozmowa. Kłótnia z przedniego siedzenia oddała się i cichnie (Trisha nauczyła się już, że milczenie bywa największym błogosławieństwem, jakie jest w stanie ofiarować nam świat). Dziewczynka niczym zahipnotyzowana wpatruje się w podpis na daszku czapki i kiedy dodge skręca na parking, ona jest bardzo, bardzo daleko stąd („Trisha wędruje po swoim własnym świecie” – jak mawia tata). Nie wie jeszcze, że zwykły, normalny świat to zębaty potwór, lecz już wkrótce się o tym dowie. Teraz jest w Sanford, nie na TR-90. Jest w parku, a nie u wylotu Szlaku Appalachów. Jest z Tomem Gordonem, numer 36, wyjaśnia mu, jak dojechać do North Berwick, a Tom z wdzięczności proponuje jej hot doga – i czy może być większe szczęście na ziemi?

Pierwsza rozgrywka

Mama i Peter dali sobie spokój, gdy doszło do wyjmowania z samochodu plecaków i wiklinowego koszyka, do którego Quilla zbierała rośliny. Peter pomógł nawet siostrze założyć plecak i żeby było jej wygodnie, skrócił jeden z paszków. Trisha pozwoliła sobie zatem na chwilę bezsensownej nadziei. Może od tej chwili wszystko będzie w porządku?

– Dzieciaki, macie płaszcze od deszczu? – spytała mama, unosząc wzrok w niebo, na razie czyste, choć na zachodzie gromadziły się chmury.

Trisha pomyślała, że najprawdopodobniej będzie padać, choć zapewne zbyt późno, by Peter mógł skarżyć się z satysfakcją, że przemókł do suchej nitki.

– Mam, mamusiu – zaświergotała radośnie w najlepszym stylu teleturniejów.

Peter tylko burknął coś, co mogło oznaczać „tak”.

– Drugie śniadanie?

Trisha przyznała z entuzjazmem, że owszem, ma drugie śniadanie, Peter znów tylko coś mruknął.

– No to doskonale, bo nie mam zamiaru dzielić się moim. – Quilla zamknęła samochód i poprowadziła ich po ubitej ziemi parkingu w kierunku tablicy z napisem: „Szlak zachodni”. Kierunek wskazywała strzałka pod spodem. Na

parkingu stało kilkanaście samochodów. Numery rejestracyjne wskazywały, że wszystkie, z wyjątkiem ich dodge'a, pochodzą spoza stanu.

– Środek przeciw komarom?

– Mam, mam – zaświergotała Trisha, nie do końca pewna, czy go zabrała. Woląla nie zatrzymywać się jednak i nie odwracać, by mama mogła sprawdzić zawartość plecaka, bo to z pewnością obudziłoby milczącego na razie Petera. Jeśli będą iść dalej, może zobaczy coś, co go zainteresuje. Na przykład szopa. Albo jelenia? „Dinozaur byłby niezły” – pomyślała Trisha i zachichotała.

– Co cię tak bawi?

– Tylko moje myśli – odpowiedziała. Dostrzegła zmarszczkę na czole matki, „tylko moje myśli” było jednym z charakterystycznych powiedzonek Larry'ego McFarlanda. „Marszcz się, marszcz – pomyślała. – Marszcz się, ile tylko chcesz. Zostałam z tobą i nie skarzę się, jak ten tam ponurak, ale tata nie przestał być moim tatą i nadal go kocham”. Dotknęła daszka czapki, jakby chciała się co do tego upewnić.

– Dobra, dzieci, idziemy – rozkazała Quilla. – Mieście oczy otwarte.

– Boże, jak ja tego nienawidzę – jęknął Peter i były to pierwsze artykułowane dźwięki wydane przez niego od chwili, gdy wysiedli z samochodu.

„Boże – pomyślała Trisha – ześlij coś: jelenia, dinozaura, UFO, bo jeśli tego nie zrobisz, zaraz znów zaczną się kłócić”.

Bóg zesłał im jednak wyłącznie kilka komarów – niewątpliwie zwiadowców komarzej armii, która już wkrótce miała się dowiedzieć, że w drodze jest świeże mięsko. Kiedy mijali strzałkę z napisem „North Conway, 9 km”, matka i syn nie myśleli już o niczym oprócz awantury. Ignorowali Triszę, ignorowali las, ignorowali cały świat z wyjątkiem siebie nawzajem. „Jap, jap, jap, jap...”; Trisha pomyślała nawet, że dla

nich to jak jakieś chore pieszczołki. I w gruncie rzeczy szkoda, że okazali się tacy głupi, bo wokół było mnóstwo całkiem fajnych rzeczy. Sosny pachniały mocno i słodko, niemal jak rodzynki. Chmury zaciągały niebo, ale wcale nie przypominały chmur, wydawały się raczej smugami białosiniego dymu. Trisha przypuszczała, że trzeba jednak być dorosłym, by coś tak nudnego jak spacer uznać za hobby, ale ten spacer nie był wcale taki zły. Nie wiedziała, czy cały Szlak Appalachów jest równie dobrze utrzymany jak ta jego część, prawdopodobnie nie, ale jeśli jakimś cudem jednak jest, to wiedziała już, dlaczego ludzie decydowali się na przejście nim całych tych tysięcy kilometrów. Przypominało to spacer szeroką, krętą leśną aleją. Niebrukowaną, oczywiście, i prowadzącą pod górę, ale i tak szło się nią bez wysiłku. Obok szlaku stał nawet szałas kryjący pompę, a obok napisane było: „Woda nadaje się do picia. Proszę napełnić dzbanek do zalania pompy dla następnego spragnionego wędrowca”.

Trisha miała w plecaku butelkę wody, wielką plastikową butelkę wody, ale nagle marzeniem jej życia stało się wypicie świeżej, zimnej wody z zardzewiałego kurka baniaka. Napije się zimnej wody z pompy, marząc o tym, że jest Bilbo Bagginsem w drodze do Gór Mglistych.

– Mamo? – przemówiła do pleców matki. – Moglibyśmy się zatrzymać, żeby...

– Peter, na przyjaciół trzeba sobie zapracować! – tłumaczyła Quilla, nie zwracając najmniejszej uwagi na córkę. Nawet się nie odwróciła. – Nie możesz stać i czekać, żeby koledzy do ciebie przyszli i...

– Mamo... Pete... nie moglibyśmy przystanąć na chwilę i...

– Nie rozumiesz – odwrękła Peter. – Nie masz o niczym najmniejszego pojęcia. Nie wiem, jak to wyglądało, kiedy ty chodziłaś do szkoły, ale mogę ci powiedzieć jedno: teraz wszystko jest całkiem inaczej!

– Peter. Mamo. Mamusiu. Tam jest pompa i... – Tak naprawdę pompa była, tak należało się o niej wypowiedzieć poprawną angielszczyzną, w czasie przeszłym, bo została już daleko za nimi i nadal się oddalała.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości – odparła natychmiast mama, zajęta dyskusją, i Trisha pomyślała: „Nic dziwnego, że doprowadziła go do szału”. A potem, z zawiścią: „Oni przecież zapomnieli, że ja żyję. Dla nich jestem Niewidzialną Dziewczynką. Niewidzialna Dziewczynka to ja. W gruncie rzeczy mogłabym spokojnie zostać w domu”. Komar zabrzączał jej przy uchu, opędziła się od niego machnięciem dłoni.

Doszli do rozgałęzienia szlaku. Główna ścieżka, nieprzyminająca już alei, lecz nadal całkiem szeroka i wygodna, odchodziła w lewo za znakiem informującym: „North Conway, 9 km”. Prawe odgałęzienie, zarośnięte i niemal niewidoczne, oznaczone było strzałką z napisem: „Kezar Notch, 16 km”.

– Panowie i panie, muszę się wysusiać – powiedziała Niewidzialna Dziewczynka, lecz oczywiście nikt nie zwrócił na nią uwagi, mama i brat szli po prostu przed siebie drogą prowadzącą do North Conway. Szli obok siebie niczym kochankowie, patrząc sobie w oczy niczym kochankowie, klóćąc się jak najgorsi wrogowie. „Równie dobrze moglibyśmy nie ruszać się z domu – pomyślała Trisha. – Mogliby się pokłócić w domu, a ja spokojnie czytałabym sobie książkę. Najlepiej *Hobbita*, o istotach lubiących spacerować po lesie”.

„Kogo to obchodzi, ja i tak siusiam” – powiedziała sobie, zaciskając usta. Przeszła kilka kroków ścieżką oznaczoną strzałką „Kezar Notch”. Sosny, zachowujące przyzwoitą odległość od głównego szlaku, tłoczyły się wokół tej ścieżki, sięgając ku niej granatowoczarnymi gałęziami, poszycie też było gęste, bardzo, bardzo gęste. Poszukała wzrokiem błysz-

czących liści, typowych dla trującego bluszczu, trującego dębu, trującego... ale nie zauważyła żadnych zagrożeń, Bogu niech będą dzięki choćby i za to. Mama pokazała jej zdjęcia tych groźnych roślin i nauczyła ją rozpoznawać je dwa lata temu, gdy życie było jeszcze prostsze i łatwiejsze. Trisha często i chętnie spacerowała wówczas z mamą po lasach (jeśli chodzi o wycieczkę do Plant-A-Torium, Peter skarżył się na nią wyłącznie dlatego, że wybrała ją matka. Było to tak oczywiste, że on sam nie zdawał sobie sprawy z przemawiającego przez niego samolubstwa, które zepsuło im wszystkim cały dzień). Podczas jednej z wycieczek mama nauczyła ją także tego, jak dziewczynki powinny siusiać w lesie. Nauka zaczęła się od całkiem prostego stwierdzenia: „Najważniejsze i być może jedynie ważne jest, by nie wejść przy tym w trujący bluszcz. A teraz patrz, co robię, i naśladuj mnie”.

Trisha rozejrzała się dookoła, nie zauważyła nikogo, niemniej jednak postanowiła zejść ze ścieżki. Ścieżka do Kezar Notch nie wyglądała na uczęszczaną; zwłaszcza w porównaniu z szeroką aleją głównego szlaku wydawała się zaledwie zaułkiem, ona jednak mimo wszystko nie zamierzała przecież kucać na samym jej środku. Wydawało się to niewłaściwe. Zeszła więc w kierunku rozgałęzienia na North Conway, nadal słysząc rozgniewane głosy matki i brata. Później, nie mając najmniejszych wątpliwości, że zablądziła, próbując jakoś oswoić się z myślą, że być może przyjdzie jej zginąć w lesie, przypomniała sobie ostatnie usłyszane wyraźnie słowa ich kłótni, wypowiedziane przez Petera piskliwym, napiętym tonem małego dziecka: „Nie wiem, dlaczego mamy płacić za wasze błędy”.

Przeszła kilkanaście kroków w kierunku, z którego dobiegły ją jego słowa, omijając ostrożnie krzaki jeżyn, choć na wycieczkę włożyła džinsy, a nie szorty. Przystanąła, obejrzała się za siebie. Nadal widziała ścieżkę, a to znaczyło, że każdy

idący tędy będzie w stanie dostrzec ją, siusiającą w kucki, z na pół wypełnionym plecakiem na ramionach i czapeczce Red Soxów na głowie. Zawstydzające, a raczej, jak powiedziałaby Pepsi „za-dupia-jące” (Quilla Anderson wspomniała kiedyś, że zdjęcie Penelopy Robichaud powinno znajdować się w słowniku przy haśle: „wulgarność”).

Trisha zeszła po łagodnie opadającym zboczach, ślizgając się na pokrywie wilgotnych zeszłorocznych liści. Kiedy, już na dole, znów obejrzała się za siebie, stwierdziła, że ścieżki do Kezar Notch nie widzi – i bardzo dobrze. Z przeciwnej strony, przed sobą, słyszała głosy mężczyzny i dziewczynki, bez wątpienia idących głównym szlakiem, znajdującym się najwyraźniej niedaleko. Rozpinając dzinsy, pomyślała, że jeśli matce i bratu przyjdzie do głowy obejrzeć się nagle, to kiedy zauważą, że zamiast siostry i córki idzie za nimi nieznamy tata z córeczką, pewnie się zdenerwują.

I bardzo dobrze. Niech się denerwują. Niech raz pomyślą o kimś innym, a nie tylko o sobie.

Cała sztuka, powiedziała jej mama w dawnych dobrych czasach, w podobnym lesie, dwa lata temu, nie polega na samym wysiusianiu się. Dziewczęta potrafią to robić równie dobrze jak chłopcy. Sztuka polega na niezasiusianiu majtek. Trisha kucnęła, przytrzymując się wygodnej poziomej gałęzi. Wolną ręką sięgnęła między kolana, usuwając spodnie i majteczki z „linii ognia”. Przez chwilę nie działo się nic, jak zwykle. Westchnęła męczeńsko; koło jej ucha zabzyczał komar, a nie miała już wolnej ręki, żeby się przed nim opędzić.

– O mój Boże, garnki do gotowania bez wody! – syknęła gniewnie i wydało jej się to śmieszne, takie strasznie śmieszne, takie potwornie głupie i okropnie zabawne, że roześmiała się i natychmiast zaczęła siusiać. Skończyła, rozejrzała się dookoła, szukając czegoś, czym mogłaby się wytrzeć, lecz znów przypomniała sobie, co mawiał tata, i zdecydowała, że

nie będzie „nadużywać szczęścia”. Potrząsnęła pupcią (jakby mogło jej to w czymś pomóc) i podciągnęła majtki. Usłyszała bzyczenie komara, uderzyła się w policzek i z zadowoleniem powitała widok krwawej plamki na dłoni. – A myślałeś, że wystrzeliłam cały magazynek, przyjacielu, co? – powiedziała.

Odwróciła się w kierunku, z którego przyszła, a potem odwróciła się znowu. Wpadła na najgorszy pomysł w swoim młodym życiu, a mianowicie, by iść przed siebie, a nie wracać na szlak do Kezar Notch. Oba szlaki rozeszły się, tworząc literę Y, wystarczyło przejść kawałek, by od jednego jej ramienia dotrzeć do drugiego. Zabłądzić na tak małym kawałku drogi – to przecież niemożliwe. Skoro tak wyraźnie słyszała głosy ludzi, nie istniało nawet najmniejsze niebezpieczeństwo zabłądzenia.

Druga rozgrywka

Zachodnie zbocze wąwozu było znacznie bardziej strome od tego, którym zeszła. Wspięła się na nie, przytrzymując się gałęzi drzew, pokonała wzniesienie i ruszyła w kierunku, skąd słyszała głosy. W tym miejscu ziemia porośnięta była gęsto krzakami, których kępy Trisha musiała obchodzić, przez cały czas patrzyła jednak przed siebie, w stronę głównego szlaku. Szła w ten sposób przez jakieś dziesięć minut, a potem się zatrzymała. W tym wrażliwym miejscu między sercem i żołądkiem, gdzie najwyraźniej zbiegały się wszystkie nerwy ciała, poczuła pierwsze niewyraźne jeszcze ukłucie niepokoju. Czy powinna już wyjść na odgałęzienie szlaku prowadzące do North Conway? Najwyraźniej tak, przecież odgałęzieniem do Kezar Notch przeszła jakieś pięćdziesiąt kroków, zresztą niech będzie sześćdziesiąt albo i siedemdziesiąt, ale z pewnością nie więcej. Odległość między dwoma ramionami Y nie może być przecież aż tak duża!

Nasłuchiwała, oczekując, że usłyszy głosy z głównego szlaku, ale w lesie panowała absolutna cisza. To znaczy nie, cisza nie była wcale absolutna. Trisha słyszała szum wiatru w wielkich, typowych dla Dzikiego Zachodu sosnach, słyszała wrzaski srok i gdzieś, w oddali, postukiwania dziecięcia wyjadającego ze smakiem późne śniadanie ze spróchniałego

pnia drzewa; wokół obojga jej uszu – dla odmiany – bzycały armie komarów, ale tej pełnej dźwięków ciszy nie przerywał żaden ludzki głos. Miała wrażenie, że jest jedynym człowiekiem w lesie, i choć zakrawało to na absurd, nerwy między sercem i żołądkiem zagrały raz jeszcze. Tym razem nieco głośniej.

Ruszyła przed siebie, trochę szybciej, marząc tylko o tym, by wyjść wreszcie na szlak, nie myśląc o niczym innym. Drogę zagrodziło jej zwalone drzewo, za wysokie, by przez nie przeleźć, Trisha postanowiła się więc pod nim przeczołgać. Wprawdzie zdawała sobie sprawę, że powinna je obejść, ale co by to było, gdyby straciła poczucie kierunku?

„Już straciłaś poczucie kierunku” – szepnął jakiś głos w jej głowie, przerażająco chłodny.

– Stul pysk, nie straciłam poczucia kierunku, stul pysk – szepnęła, klękając.

Pod fragmentem obrośniętego mchem pnia widać było płytkie wgłębienie, postanowiła więc zacząć w tym miejscu. Opadłe poprzedniej jesieni liście były mokre, nim to sobie jednak uświadomiła, przód bluzy miała zupełnie przemoczony, powiedziała sobie zatem, że wilgoć nie ma najmniejszego znaczenia. Podczołgała się dalej i uderzyła plecami w pień. Łup.

– Niech to lichy weźmie! – szepnęła. „Niech to lichy weźmie” było ostatnio ulubionym przekleństwem jej i Pepsi, nie wiedziały dlaczego, lecz brzmiało to jakby trochę z wiejska i trochę z angielska. Cofnęła się. Zamiast pełzać, stanęła na czworakach, otrzepała wilgotne, nadgniłe liście z bluzy i dopiero teraz zauważyła, że ręce jej się trzęsą. – Nie boję się – powiedziała specjalnie głośno, własny szept bowiem trochę ją jakby przerażał. – Wcale się nie boję. Szlak jest na wyciągnięcie ręki. Trafię tam za pięć minut i będę musiała biec, żeby ich dogonić.